

Internet i kultura

Z Magdaleną Szpunar,
socjologiem internetu rozmawiają
Tomasz Tisończyk i Andrzej Waśko

W swojej książce, wydanej w 2012 roku określa Pani internet jako „nowe-stare medium”¹. Nowość internetu wydaje się oczywista. Czy mogłaby więc Pani określić, na czym polega jego „starość” czyli związek z wcześniejszymi formami komunikowania?

Supozycję nowe-stare medium postanowiłam uczynić podstawową dla wyjaśnienia miejsca i roli internetu na tle jego poprzedników – starych mediów. Internet traktuję jako nowe-stare medium, gdyż zawiera w sobie cechy zarówno nowych, jak i starych mediów. Medium to bowiem – analogicznie jak jego poprzednicy – nie wyłoniło się *ex nihilo*. Internet w wielu wymiarach reprodukuje modele komunikowania właściwe starym mediom, jednakże w wielu aspektach nie pozwala na kategoryzowanie go jako medium masowego, generuje nowe schematy, komunikacje, stając się tzw. nowym medium. Media niezależnie od tego, czy nowe, czy stare są mocno zależne od swoich poprzedników, stanowiąc dla siebie źródło odniesienia. Im bardziej poznamy naturę poprzedniego medium, tym łatwiej zrozumiemy sposób działania jego następcy. Nawyki, konwencje i oczekiwania związane z użytkowaniem starszego medium determinują sposób użycia medium nowego. W przypadku pojawienia

1 M. Szpunar, *Nowe-stare medium: Internet między tworzeniem nowych modeli komunikacyjnych a reprodukowaniem schematów komunikowania masowego*, Warszawa 2012.

się nowej technologii nie mamy do czynienia z radykalnym zerwaniem z przeszłością, a z pewnym *continuum*, nieprzerwanym biegiem przeobrażeń i czerpania z dziedzictwa poprzedników, o czym przekonuje nas zarówno koncepcja mediamorfozy, jak i remediacji. Różnice pomiędzy mediami zacierają się. Stare media bazują na dokonaniach nowych, a nowe w wielu wymiarach przejmują formaty swoich poprzedników, by odpowiadać na potrzeby użytkowników zsocjalizowanych medialnie do staroego. Nowe media stają się zatem nowymi-starymi mediami, gdyż łączą w sobie cechy obu typów mediów, ale także dostosowują swój przekaz do staromedialnych nawyków swoich odbiorców.

W swojej najnowszej książce wprowadzam pojęcie socjalizacji medialnej. Proponuję ją określać jako proces internalizowania, ale także eksternalizowania wzorów i sposobów użytkowania danego medium. Dzięki eksternalizowaniu zachowań medialnych, przejawianych w kontakcie z danym środkiem przekazu, aktywność medialna jest nie tylko reprodukowana na inne jednostki, ale także sama jednostka je reprodukuje w zetknięciu z nowym medium. Socjalizacja medialna dokonująca się w procesie użytkowania starych mediów prowadzi do reprodukcji zachowań, które proponuję określać mianem staromedialnych nawyków odbiorczych. Zatem, choć pojawia się nowe medium, które potencjalnie umożliwi innowacyjne użycie, jednostka wykorzystuje je zgodnie z wcześniej zinternalizowanymi zachowaniami. Staromedialne nawyki odbiorcze stanowią formę więzów, spod których jednostka przez dłuższy czas nie potrafi się wyzwolić. Założenie to znajduje potwierdzenie u Ogburna, który zauważył, iż praktyki kulturowe nie nadążają za zmianami w obszarze technologii. Socjalizacja do „nowego” wymaga zatem, wyzbycia się starych schematów postępowania. Zinternalizowane przez nas sposoby korzystania z mediów masowych (starych mediów) determinują praktyki kulturowe przejawiane wobec nowego medium, jakim jest internet, powodując, mimo swoistej nowości, że pozostaje on nowym-starym medium. Owo nowe-stare użycie trafnie oddają słowa Andrzeja Zybertowicza, który zauważa: „Póki uczestniczymy w pewnych praktykach społecznych, tak długo musimy posługiwać się aparaturami pojęciowymi „przymuszającymi” nas do takiego, a nie innego sposobu doświadczania świata”. Sfera reprezentacji tworzonych w umyśle człowieka jest tworzona zgodnie z wcześniej wdrukowanymi w niego habitusami. Wyzbycie się nawyków, wyuczonych sposobów postępowania, także wobec mediów, jest niezwykle trudne.

Jednakże należałoby wskazać, iż jednostka przystosowuje się w pewien sposób do nowej sytuacji. Jeśli pojawia się „nowe”, muszą pojawić się także nowe mutacje, które możemy definiować jako nowe modele korzystania z mediów. Zgodnie ze spojrzeniem ewolucjonistów, jednostki,

u których nowa mutacja się nie pojawi, nie przetrwają. By partycypować w nowomediowej rzeczywistości, konieczne jest zatem dostosowanie aparatu poznawczego do nowej rzeczywistości. Nowe media, do których przypisuje się nowe formy zachowania, jak chociażby interaktywność, pozostają w znacznej mierze „martwe”, ponieważ ich odbiorcy nie są wyposażeni w odpowiednie (kompatybilne) z tymi mediami habitusy. Habitusy funkcjonują na wzór oprogramowania, ludzie dysponują „starym oprogramowaniem”, które nie jest zgodne z kodem nowych mediów.

Początki Internetu były związane z libertariańsko-kontrkulturową nadzieją, że przełamie on dominację w życiu społecznym mediów masowych, przede wszystkim telewizji, wyzwoli energię i kreatywność ludzi, ograniczy monopol wielkich producentów informacji i rozrywkę. W jakim zakresie te nadzieje się sprawdziły, a w jakim okazały się iluzją?

W początkowej fazie rozwoju internetu zakładano, że medium to stanie się panaceum na homogeniczny, monopolistyczny dyskurs właściwy mediom masowym. Pozwoli uwolnić się spod jarzma zunifikowanych, uproszczonych, jednostronnych komunikatów przygotowywanych przez tych nadawców. Internet miał przełamywać jednostronny model przepływu informacji, gdy odbiorca przyjmuje na siebie rolę biernego konsumenta serwowanych mu treści, anonimowej końcówki procesu komunikowania, która trawi medialną papkę przygotowaną dla najbardziej przeciętnego odbiorcy. Użytkownik nowych mediów miał mieć możliwość sprzężenia zwrotnego, reagowania, swobodnego artykułowania swoich opinii, a nawet wchodzenia w rolę nadawcy i wypierania jego monopolu na dostarczanie *contentu*.

Ostatnie badania dotyczące architektury internetu przeczą powszechnym przekonaniom o zdecentralizowanym i rozproszonym charakterze tego medium. Badacze związani z firmami AltaVista, Compaq oraz IBM podważają dotychczasowe przekonania związane z architekturą internetu postrzeganą jako gęsta sieć połączeń w obrębie kuli. Wykazują oni, że Sieć przypomina muszkę smokingową (*bow-tie theory*), z wyraźnym centrum, rzadziej odwiedzanymi skrzydełkami oraz sporymi obszarami, które w ogóle nie zyskują uwagi internautów. Teoria muszki smokingowej redefiniuje dotychczasowy sposób myślenia o internecie. Pokazuje bowiem, że w medium tym obserwujemy wyraźną koncentrację treści w obrębie centrum, które generuje największy ruch w Sieci i sprawia, że spora część uwagi internautów ogranicza się do tychże właśnie stron. Zatem choć potencjalnie mamy do czynienia *online* z bardzo szeroką, niemal nieograniczoną ofertą konkurujących ze sobą treści, nasz wybór z reguły ograniczony zostaje do kilku najpopularniejszych i *de facto*

największych witryn. Walka konkurencyjnych podmiotów o uwagę odbiorcy po raz kolejny zdominowana zostaje przez czynniki ekonomiczne. Tylko najsilniejsi gracze rynku internetowego mają szanse generowania największego ruchu w Sieci i dystrybuowania treści.

Pomimo możliwości, które przed jednostkami otwierają nowe media, niejednokrotnie nie posiadają one kompetencji, by z tych potencjalności korzystać. Po wtóre należałoby wskazać, iż jednostki są z natury leniwe poznawczo, kierując się zasadą minimum, chcą osiągnąć cel, jak najmniejszym kosztem. Zatem w kontakcie z medium, jakim jest internet, który mogą niemal dowolnie konstruować, wybierają znane im wcześniej habitusy. Ograniczenia w możliwości kreacji i interaktywności – cech najczęściej przypisywanych internetowi – pochodzą od samej jednostki.

Owe ograniczenia mają swe źródło w habitusie polegając na tym, iż jednostka choć potencjalnie ma możliwość nieograniczonego działania, może podejmować aktywność odwołując się do nieograniczonej liczby scenariuszy, tak jednak nie czyni. Istnieją bowiem tysiące opcji, o których jednostka w ogóle nie myśli i nie bierze ich pod uwagę podejmując działania, także te online. Toteż, skoro jednostka w ogóle tych scenariuszy nie rozważa, są one fikcjonalne, bowiem są one jej niedostępne i realnie nie może z nich korzystać.

Komunikacja przez Internet sprzyja przelamywaniu monopolu informacyjnego i budowaniu struktur poziomych w społeczeństwach i – jak pokazał rok 2011 w krajach arabskich – mobilizacji obywateli wpływającej na bieg spraw politycznych. Z drugiej strony postępująca cyfryzacja stwarza nieznaną dotąd możliwość kontroli nad społeczeństwami. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z jednym z licznych „paradoksów Internetu” zasługującym na komentarz. Czy Sieć nas wyzwala, czy jesteśmy w nią schwytni?

Obserwując rozwój i sposób funkcjonowania internetu wydaje się, że można określać to mianem techniki autorytatywnej, o której pisał Lewis Mumford. Przypomnijmy, że techniki te autor charakteryzował jako wykazujące inklinację ku centralizacji władzy i kontroli. Stanowiły formę władzy samej w sobie, z pominięciem lub minimalizowaniem roli człowieka. Wydaje się, że właśnie internet oferuje nam wiele, ale równie wiele nam zabiera. Zawłaszcza naszą prywatność, staje się technologią obosieczną, o której pisał Platon w *Fajdrosie*. Wprowadza zmianę, pozostaje tylko pytanie o to, jaki jest charakter tej zmiany i czy jest to zmiana na lepsze? Herbert Schiller wskazuje, że wbrew naszym nadziejom związanym z funkcjonowaniem internetu, bez technologicznej przeciwwagi dla technologii wyszukiwania i nowych zastosowań medium to staje się kolejnym antydemokratycznym i scentralizowanym środkiem przekazu.

Internet zawłaszcza naszą uwagę, minimalizuje możliwość wyboru, choć wydaje się, że mamy do czynienia z sytuacją dokładnie przeciwną – poszerza wybór, oferując nieskończone możliwości. Chociaż jest siecią rozproszoną, to przecież dostęp do tej sieci w znacznym stopniu ograniczają wyszukiwarki. System jest tak dobry, jak jego najsłabsze ogniwo – można by funkcjonalnie powiedzieć o internecie. Tym słabym ogniwem są właśnie wyszukiwarki chroniące nas co prawda przed zalewem informacji, odsewające ziarno od plew, z drugiej zaś strony, mocno ukierunkowujące naszą uwagę, niekoniecznie zgodnie z naszym dobrze pojętym interesem. Istotniejsza staje się tutaj logika maszyny, która zgodnie z własnym, komercyjnym porządkiem agreguje naszą ograniczoną uwagę. W pewnym sensie wyszukiwarka okazuje się wąskim gardłem, które w znaczącym stopniu redukuje i ogranicza nasz wolny wybór.

Eszter Hargittai antropomorfizując wyszukiwarki zauważa, że osoby, które nie wiedzą jak one działają, są przez nie wyzyskiwane. Nieznajomość technologii, którą się wykorzystuje, rodzi pole do nadużyć, a niewiedza otwiera pole do nadzoru, inwigilacji i daleko posuniętej kontroli. Narzędzia wolności stają się paradoksalnie narzędziami naszego zniewolenia. Inaczej to ujmując użytkownicy zamiast użytkować technologii, stają się przez nią używanymi. Nasze wybory *online* mają charakter pozorny, zostają bowiem ograniczone do oferty maszyny, która w imię lepszej personalizacji i dostosowania się do naszych potrzeb, mocno nas ogranicza. Jeszcze w latach 60. XX wieku Karl Deutsch określił sieci komunikacyjne jako system nerwowy społeczeństwa, który jednocześnie staje się ośrodkiem informacji i nadzoru. Można tę myśl Deutscha rozumieć dwojako – sieć staje się ośrodkiem informacji dla nas, ale także i o nas, gromadząc na podstawie pozostawianych przez nas każdego dnia cyfrowych śladów dziesiątki informacji.

Jakie zjawiska psychologiczne i społeczne generuje anonimowość kontaktów w sieci? Na ile jest ona faktyczna, na ile iluzoryczna? Na czym polega wartość anonimowości w oczach jej obrońców i czy obecny stan rzeczy w tym zakresie zasługuje na obronę?

Za McLuhanem należy stwierdzić, że internet, jak każdy wynalazek, ma „dwojaką naturę – jest zarówno dobrodziejstwem, jak i przekleństwem”. Analogicznie należy spojrzeć na anonimowość *online* przynoszącą zarówno wymierne korzyści – terapia *online*, ale także zagrożenia w postaci rozhamowania, agresji, braku kontroli. Swoisty dla komunikacji online mechanizm rozhamowania powoduje rozluźnienie więzi i depersonalizację kontaktów, co skutkuje zdecydowanie odważniejszymi i ostrzejszymi sądami niż w kontaktach *face-to-face*.

Warto jednocześnie dodać, że rozhamowania nie należy konotować wyłącznie z negatywnymi konsekwencjami, które ono implikuje. Może ono rzeczywiście wiązać się z przejawianiem działań negatywnych wobec innych – obrażanie, prowokowanie, ale także może wiązać się z nadmiernym ujawnianiem siebie (*self-disclosure*), co czasem może ułatwiać jednostce diagnozowanie problemów, które wypiera, lub o których w kontaktach *face-to-face* z różnych względów nie chce mówić. Internetowa anonimowość odkrywa paradoksalny jej charakter. Z jednej strony bowiem pozwala w niemal dowolny, ale jednocześnie bardzo świadomy sposób budować własny wizerunek, z drugiej strony ukryta tożsamość ułatwia większe odsłonięcie się. Julia Omarzu wskazuje, że w przypadku ujawniania siebie (*self-disclosure*) mamy do czynienia z trzema stopniami jawności. Pierwszy stopień stanowi szerokość (*breadth*), która oznacza liczbę tematów, jakie podejmowane są w dyskusji. Drugi stopień to długość (*duration*) trwania wypowiedzi, trzeci wymiar stanowi głębokość (*depth*) wyznań. O ile dwa pierwsze wymiary są łatwe do zbadania, trzeci wymiar ujawniania jest najbardziej subiektywny. Zdaniem badaczki, wskaźnikiem, który określa głębokość informacji, jest intensywność w przeżywaniu i wyrażaniu emocji. Omarzu wskazuje, że informacje głębokie często mają charakter negatywny lub zawstydzający. Warto jednak dodać, że ta zmienna jest determinowana osobowościowo i kulturowo. To, co dla jednej osoby może przynależeć do sfery tabu, dla innej nie stanowi formy odsłaniania się. Wystarczy spojrzeć na sferę seksualności.

Amerykańskie nastolatki zdecydowanie odważniej i otwarcie rozmawiają o seksie, w przeciwieństwie do ich polskich rówieśników. Hua Qian i Craig R. Scott wyróżniają dwa poziomy anonimowości. Anonimowość wizualną, która polega na nieujawnianiu wyglądu fizycznego nadawcy komunikatu oraz anonimowość dyskursywną, której celem jest niemożliwość skojarzenia przekazu z konkretnym autorem. Badacze ci wskazują, że wizualna anonimowość nie wpływa na zwiększenie poziomu otwartości. Dopiero większą otwartość implikuje anonimowość dyskursywna. Warto dodać, że otwartość w komunikacji jest tym elementem, który implikuje poczucie zobowiązania. Youngme Moon wskazuje, że ludzie, którzy otrzymują osobiste komunikaty, czują się zobligowani do reakcji na tym samym poziomie otwartości

Kontakty przez fora internetowe i Facebook odgrywają ogromną rolę w relacjach młodzieży z rówieśnikami. Czy nie odbywa się to kosztem wspólnot realnego współżycia i czy budowanie wspólnot online nie generuje alienacji społecznej offline? Jak to wpływa na charakter przekazu kulturowego między pokoleniami internetowych „tubylców” i „imigrantów”?

Współcześni młodzi to cyfrowi tubylcy. Są osobami urodzonymi po 1983 roku, a więc nowe media stanowią naturalny element ich codzienności. Dorastanie w otoczeniu nowych mediów, sprawiło, że technologie te są integralnym elementem ich życia, a komunikacja *online* prymarnym sposobem komunikowania się. Ta integralność życia z nowymi mediami spowodowała, że wykazują trudności z rozumieniem długiego i skomplikowanego tekstu w książce, preferują natomiast obraz i dźwięk. Telefony komórkowe, laptopy, palmtopy to dla nich przedmioty osobiste, z którymi chętnie eksperymentują. Nauczyciele, wykładowcy i rodzice to z kolei przedstawiciele cyfrowych imigrantów. Są osobami, które z trudnością adaptują się do nowych mediów i niechętnie przyswajają nowinki technologiczne. W procesie nauczania preferują systematyczność, cierpliwość, preferują również słowo pisane, a nie obraz. Koncepcja cyfrowych tubylców i cyfrowych imigrantów pokazuje, w jak bardzo odmiennych środowiskach funkcjonują uczniowie i ich nauczyciele i jak bardzo różnią się ich oczekiwania wobec procesu dydaktycznego. Cyfrowi tubylcy preferują sytuację, w której edukacja przypomina dobrą i ciekawą zabawę. Są niecierpliwi, a wiedzę chcą zdobywać szybko i efektywnie. Niechętnie akceptują sytuację, w której zmuszeni są biernie wysłuchiwać wykładu głoszonego *ex cathedra* z pozycji dystansu. Chcą aktywnie uczestniczyć w procesie zdobywania wiedzy, nie będąc ograniczonymi do literalnego odtwarzania przekazywanej im wiedzy. Nauczyciele, dydaktycy niechętnie akceptują tę sytuację. Przyzwyczajeni są do sytuacji, w której autorytarnie określają, co należy wiedzieć, a dialogiczność akceptują niechętnie. Jako reprezentanci cyfrowej imigracji, przyswajają umiejętności posługiwania się nowymi mediami, jednakże bardzo często stają się one dla nich jedynie sztucznymi protezami, z których zmuszeni są korzystać. Funkcjonują niczym imigranci, którzy bardzo często w nowej ojczyźnie czują się ludźmi z zewnątrz, *outsiderami*, nierozumiejącymi lokalnych zwyczajów i konwencji.

Traktowanie internetu jako błogostawieństwa zdaje się kierować reformatorem oświaty i szkolnictwa wyższego, którzy zakładają, że dostęp do komputera dla każdego ucznia i studenta oraz możliwość korzystania z zasobów informacyjnych sieci wystarczy do ukształtowania nowoczesnego społeczeństwa wiedzy. Jak, Pani zdaniem, powinien wyglądać optymalny zakres obecności internetu w szkole i na uniwersytecie, w tym zwłaszcza na kierunkach humanistycznych?

Trzeba zauważyć, że kultura cyfrowa to kultura nadmiaru. Chciałabym zwrócić uwagę na pewien bardzo istotny fakt. Otóż internet rozszerza nasz dostęp do informacji, nie poszerza jednak możliwości ich

przyswojenia. Sam dostęp do informacji, a nie wiedzy – jak często mówi się w odniesieniu do internetu – niewiele zmienia, jeśli jednostka spotyka się z problemem ich nadmiaru. Bogactwo informacyjne, traktowane jako immanentna cecha społeczeństwa informacyjnego, paradoksalnie zamiast stawać się naszym dobrodziejstwem, przeradza się w przekleństwo, bowiem nie wiemy, jak z owego dostatku efektywnie korzystać i jak poradzić sobie z nadmiarem konkurujących o naszą uwagę treści. Jeszcze w latach 70. XX wieku Herbert Simon zauważył, iż bogactwo informacji implikuje ubóstwo uwagi. Uwaga, choć kluczowa w procesie przyswajania nowych informacji jest zasobem słabo powiększalnym. Ogrom informacji docierających do nas sprawia, że umysł ludzki szuka sposobów radzenia sobie z nadmiarem bodźców, implikując zubożenie na te informacje, które traktuje jako nadprogramowe. Wrażliwość na bodźce, wraz z ich przyrostem staje się coraz mniejsza. Pisząc o świecie bogactwa informacji Simon zauważa także, że ową mnogość należy przeciwstawić nielicznemu gronu tych, którzy z tej informacji korzystają. Jego zdaniem, projektanci systemów informacyjnych zogniskowali się na tworzeniu takich systemów, które stanowiąc będą odpowiedź na deficyt informacji, podczas gdy powinni projektować systemy, które należałoby przeorientować na ograniczenia ludzkiej uwagi. Ważniejsze zatem od samego dostarczania informacji jest dzisiaj wsparcie jednostek w procesach selekcji informacji, określania ich ważności i istotności, by uniknąć przeładowania informacyjnego (*information overload*). Simon zwracał także uwagę, iż jednostki w swoich działaniach rzadko podejmują działania maksymalizujące, racjonalne, częściej ograniczając swoje działania do rozwiązań satysfakcjonujących. Przyczyną takiego stanu rzeczy są wysokie koszty zdobywania informacji oraz ich przetwarzania. Jednostki preferują „półśrodki” i rozwiązania połowiczne także ze względu na ograniczoną pojemność ludzkiego umysłu, który nie potrafi przetworzyć wszystkich niezbędnych informacji by działać w pełni racjonalnie. Koncepcja Simona znajduje swoje potwierdzenie w koncepcji minimumu, zgodnie z którą jednostka dąży do tego, by maksymalizować korzyści przy minimalizacji nakładów.

Neil Postman wypowiada znamienne słowa: „dżin, który wychynął z butelki, głosząc, że informacja jest nowym bogiem kultury, był oszustem. Rozwiązał oczywisty dla wszystkich problem niedoboru informacji. Nie ostrzegł jednakże przed znacznie gorzej widocznymi niebezpieczeństwami jej nadmiaru”. Łaknienie nowości, dopływu świeższych informacji może mieć charakter uzależniającego. Wielu ludzi nie potrafi funkcjonować bez nieustannego bycia *online*, sprawdzania poczty, czy tablicy w serwisie społecznościowym. Bez tego dostępu czują się wykluczeni, nie zadając sobie pytania, na ile ważne i czy w ogóle ważne w ich życiu są te informacje. Stanisław Lem zauważa: „Sama informacja staje się (...)

rodzajem odurzającego, labiryntowego narkotyku dla szyfrantów-deszyfrantów, a zatem po prostu paranoidalnych frantów”. Lem studzi zapal technoentuzjastów, upatrując w nadmiarze informacji prawdziwe i realne zagrożenie, określając ją mianem *szarańczy informacyjnej*. Ten znakomity obserwator ponowoczesności zauważa: „to, co w mniemaniu racjonalnym powinno było przysparzać ludziom dobra i spełnienia oczekiwań, zwłaszcza wspieranie nadziei na lepszy byt, ulegało konwersji na instrumenty technoporbustwa, komercyjnej trywializacji, w sumie zaś – idio-cenia w papkach masowej kultury. Informacja właśnie okazała się na znieprawienia szczególnie podatna. Powiedziałbym wręcz, że genitalizacja informacyjna, zasilająca nawet sieci komputerowe nauki, jawi mi się jako rodzaj zarazy, czyli parazytyzmu, żerującego na nieosłabianej okresa-mi milczenia płci (jak u zwierząt) pożądliwości seksualnej człowieka”². Sam dostęp do informacji nie warunkuje zatem naszej wiedzy i mądrości, wręcz przeciwnie, gdy oferuje się nam tysiące prostych i łatwo przyswajalnych przekazów, bezrefleksyjnie je chłonimy, nasiąkamy prostymi sloganami, zbanalizowanymi do granic możliwości przekazami, jaki zatem pożytek czynimy z informacyjnych potencjalności? – należy odpowiedzieć, iż najgorszy z możliwych. Informacja we współczesnym świecie wydaje się nieustannie podlegać procesowi pauperyzacji. Chętnie zaczytujemy się w newszakach, informacjach plotkarskich, rzadko odpowiadając sobie na pytanie, w jaki sposób informacje te poszerzają naszą wiedzę o świecie? Jan van Dijk słusznie zauważa, iż dostęp do informacji jest ważny, ale ważne jest również to, czy jednostka potrafi z nich skorzystać.

Podobne konstatacje odnajdziemy u Ryszarda Tadeusiewicza, który pisze o smogu informacyjnym, który nie tylko oznacza nadmiar informacji, ale brak umiejętności ich wartościowania i selekcyjonowania: „zmieszanie w sposób praktycznie uniemożliwiający oddzielenie wartościowych przekazów od zapisów niedokładnych, bałamutnych, czy wręcz totalnie nieprawdziwych – to użyteczność informacji zmienia się w swoje zaprzeczenie (...) są ich tysiące i mogłyby być użyteczne, ale ponieważ są rozdrobnione i rozproszone, tworzą informacyjną mgłę, która oślepi i dusi, utrudnia orientację”³. Niestety współczesny odbiorca w ogóle nie jest przygotowany na to, by radzić sobie z taką obfitością informacji. Na niemal wszystkich etapach edukacji szkolnej temat ten jest pomijany i lekceważony. Program przedmiotu technologia informacyjna, z reguły ogranicza się do nauki technikaliów związanych z obsługą konkretnego programu komputerowego. Brakuje pogłębionej, krytycznej refleksji nad

2 S. Lem (2000). *Szarańcza informacyjna*, <<http://wiadomosci.onet.pl/raporty/szarancza-informacyjna,1,3331601,wiadomosc.html>> (dostęp: 10.05.2013).

3 R. Tadeusiewicz, *Spoleczność Internetu*, Warszawa 2002, s. 121.

skutkami oddziaływania cywilizacji informacyjnej. Postulowane przez wielu badaczy obowiązkowe nauczanie w zakresie edukacji medialnej miałyby stanowić próbę wyjścia z tego impasu. Nie chodzi tutaj bynajmniej o straszenie dzieci internetem, a o wdrukowanie w nich nawyków bezpiecznego surfowania po Sieci i dostrzegania potencjalnych zagrożeń. Należy zgodzić się tutaj z Umberto Eco, który zauważa, iż „między dysponowaniem milionami megabitów informacji na jakiś temat a niedysponowaniem ani jednym nie ma wielkiej różnicy” – jeśli nie wiemy, co z tą informacją zrobić, można by dodać.

Intrygująca jest opozycja akademickiego modelu wiedzy naukowej wobec, metody tworzenia informacji w Internecie, Wikipedii itp. – określana przez Panią jako opozycja „katedry” i „bazaru”. Czy mogłaby Pani szerzej naświetlić te różnice? (Rozmowy ze studentami, dla których jednym źródłem informacji jest Wikipedia prowadzą do wniosku, że proces tworzenia wiedzy i jej przekazywania nie może zostać całkowicie przeniesiony do rzeczywistości wirtualnej).

Dla modelu katedry charakterystyczna jest elitarność, hermetyczność, hierarchizacja działania i precyzja. Oprogramowanie w modelu katedry, według Raymonda, „ma powstawać jak katedry: budowane zręcznymi palcami samotnych czarodziei lub grupy dostojnych magów pracujących w pełnym namaszczenia odosobnieniu”. Odmiennej model właściwy dla programowania *open source* to bazar – pełen różnorodności, odmiennych poglądów, ścierających się ze sobą wizji, otwarty dla każdego, odrzucający hierarchię i precyzyjne relegowanie zadań. Różnorodność bazaru implikuje bogactwo wypływające z różnorodności i twórczy ferment. Przejście od elitarnego modelu katedry do masowego modelu bazaru pokazuje kierunek zmian, które dotyczą wielu innych wymiarów naszego życia. Doskonałą egzemplifikacją tego przejścia jest działalność wiedzytwórcza. Przestaje być ona działalnością przypisaną do wąskiej, elitarniej grupy naukowców, których legitymizowały stopnie naukowe i afiliacje. Dzisiaj katedralny model tworzenia wiedzy, wypierany jest przez egalitarny model bazaru, co znajduje swoje odzwierciedlenie chociażby w kolektywnie tworzonej Wikipedii.

Ponieważ wszystko wskazuje, że Internet pozostanie częścią naszej cywilizacji w dającej się przewidzieć przyszłości (jak długo?), jak powinniśmy obchodzić się z tym narzędziem, żeby korzystanie z niego nie obróciło się przeciwko nam samym?

Christine Rosen zauważa, iż rozmawiamy współcześnie o technologii w sposób, który kiedyś przypisany był do sztuki czy religii. Konstatację tę

potwierdza Alexander Halavais zwracając uwagę, iż wyszukiwarki pełnią główną rolę w ujarzmianiu i kontrolowaniu informacji, przez co „ufamy im bardziej, niż powinniśmy. Mechanizmy te (...) stały się wręcz obiektem naszej wiary”. Zapotrzebowanie na huxleyowskie nowe wspaniałe światy, oferujące oderwanie od szarej, przyziemnej rzeczywistości wpisuje się w ideę rzeczywistości wirtualnej. Właściwe dla determinizmu technologicznego myślenie staje się wygodną kalką, dzięki której to technologii – w tym przypadku internetowi – oddajemy prymat w procesie zmiany i kształtowania rzeczywistości społecznej. Wydaje się, że wizja determinizmu technologicznego, chociaż kusząca, nazbyt upraszcza rzeczywistość. Technologia jest bowiem nie tylko narzędziem kształtującym, ale i kształtowanym. To od nas użytkowników zależy, w jakim celu będziemy z niej korzystać i jak będziemy zmieniać jej formę i właściwości. Związek technologii i człowieka ma charakter symbiotyczny – obie strony są od siebie zależne i wzajemnie się kształtują. Postulowałabym przede wszystkim refleksyjne korzystanie z tego narzędzia.

Bardzo dziękujemy za rozmowę.